

czy honorowych stowarzyszeń naukowych. Uzyskują prestiżowe nagrody i wyróżnienia oraz w nieznaną wcześniej skali międzynarodowej, europejskie i krajowe granty na projekty badawcze. **Obawiamy się, że brak wszechstronnie wykształconych studentów zahamuje tę tendencję.**

Reasumując: prosimy o odstąpienie od pobierania opłat od studentów filozofii, którzy studiowali lub studiują inne kierunki. Obawiamy się, że utrzymanie opłat za studia dla tej grupy doprowadzi do jakościowej degradacji polskiej filozofii (wraz z logiką), dyscyplin mających piękną kartę w historii, odradzających się w ostatnich latach i istotnych dla kultury i demokracji w Polsce. Liczymy, że Pani Minister w swych zamierzeniach weźmie pod uwagę przyszłość polskiej filozofii i logiki.

*Z wyrazami szacunku*

W imieniu Rady Naukowej, pracowników i studentów Instytutu Filozofii UJ

**Prof. dr hab. Wojciech Suchoń**  
Przewodniczący Rady Naukowej  
Instytutu Filozofii UJ

**Dr hab. Michał Bohun**  
Dyrektor  
Instytutu Filozofii UJ

## OKAZJONALIZMY I KWANTYFIKACJA

Katarzyna Kijania-Placek, *Pochwała okazjonalności. Analiza deskryptywnych użyczeń wyrażań okazjonalnych*, Wydawnictwo Naukowe Semper, Warszawa 2012, s. 288.

1. Centralnym punktem zainteresowania Katarzyny Kijani-Placek w książce *Pochwała okazjonalności* są okazjonalizmy deskryptywne, tj. takie okazjonalizmy, że zdania je zawierające wyrażają sądy ogólne (zob. np. s. 103)<sup>1</sup>. Poświęcone są im rozdziały III i IV książki.

W rozdziale III Autorka bardzo szczegółowo i wnikliwie prezentuje i komentuje różne koncepcje takich okazjonalizmów, a w szczególności: (a) koncepcję referencji przeniesionej (Nunberga), z istotnym

---

<sup>1</sup> Używam terminu „okazjonalizm” jako skrótu terminu „wyrażenie okazjonalne”.

dla niej rozróżnieniem indeks-referent oraz trzech składników znaczeniowych: deiktycznego, klasyfikacyjnego i relacyjnego<sup>2</sup>; (b) koncepcję wielopoziomową (Recanatiego, ale stanowiącą rozwinięcie idei Nunberga)<sup>3</sup>, z istotnym dla niej elementem w postaci pojęć *de re*, różnych zresztą typów – w szczególności tzw. pojęć encyklopedycznych – uzupełniających parę indeks-referent; (c) koncepcję semantyki sytuacyjnej (nawiązującą do idei Kratzer<sup>4</sup>), ze szczególnym uwzględnieniem jej wersji odwołującej się do pojęcia sytuacji minimalnej (Elbourne'a) oraz wersji referencyjno-deskryptywnej (Stokke'a), zakładającej swego rodzaju amfibologiczność („systematyczną dwuznaczność” składniową) wszelkich okazjonalizmów; (d) koncepcję pragmatyczną (Hunter), interpretującą okazjonalizmy w kategoriach mechanizmu wymuszania (*coercion*); (e) koncepcje „w duchu” teorii relewancji (Powella, Beuidenhout i Galery'ego), a więc traktujące wyrażenia jako wskazówki intencji komunikacyjnych mówiącego i odwołujące się do rozróżnienia pojęciowego (a więc mentalnego) i proceduralnego (*scil.* inferencyjnego) znaczenia wyrażeń, przy czym znaczenie językowe okazjonalizmów ma być rodzajem tego ostatniego; (f) koncepcje opierające

<sup>2</sup> Jest to pewne uogólnienie tradycyjnej problematyki metonimii.

<sup>3</sup> Przy okazji warto może zaznaczyć, że interpretowanie kontekstów, analizowanych przez Recanatiego, typu „Prezydent zmienia się co cztery lata” przez pryzmat słowa „prezydent” (co prowadzi do zarejestrowanych przez Autorkę trudności) – można zastąpić interpretowaniem tych kontekstów przez pryzmat słowa „zmienia się”. W języku polskim myśl, o którą – jak wynika z analizy – chodzi mówiącemu takie słowa, wyrazilibyśmy precyzyjniej mówiąc „Prezydenta WYMIENIA SIĘ co cztery lata” (w języku angielskim „change” jest używane w obu funkcjach) czyli inaczej: „Prezydent jest wymieniany co cztery lata [*scil.* na innego]”. Stąd blisko już do formy logicznej:  $\wedge x$  ( $x$  jest prezydentem  $\rightarrow$  kadencja  $x$ -a trwa cztery lata). Postawiłbym hipotezę, że wiele koncepcji interpretacyjnych ma źródło w swoistościach badanego języka etnicznego.

<sup>4</sup> Mam pewne trudności w zrozumieniu tej idei, w każdym razie na podstawie tego, co o niej Autorka pisze w swojej książce, że mianowicie „w semantyce sytuacyjnej sąd jest zbiorem sytuacji i mówimy, że sąd  $p$  jest prawdziwy w sytuacji  $s$ , gdy  $p \in s$ ” (s. 126). Zauważmy najpierw, że symbol ' $p$ ' nie jest tu zmienną zdaniową, lecz zmienną przebiegającą zbiór nazw sądów. Dalej: skoro sąd  $p$  jest elementem  $s$ -a, to  $s$  jest jakimś (niepustym) zbiorem. Ale przedtem mówi się, że  $s$  to jest jakaś sytuacja (np. taka, w której zdanie  $p$  jest prawdziwe). A jeszcze przedtem – że sąd jest zbiorem sytuacji. Jeśli tak, to żeby jakiś sąd (np.  $p$ ) był elementem zbioru  $s$ , to elementem zbioru  $s$  musi być co najmniej jeden zbiór sytuacji. Mało to intuicyjne – chyba że chodzi tu nie o zbiory dystrybutywne i nie o relację należenia-do (o czym mogłoby świadczyć mówienie w tym kontekście o „kawałkach świata” i o „części domu” – por. np. s. 128 i n. oraz s. 147); ale wtedy należałoby to *explicit*e zaznaczyć, zwłaszcza że tuż obok używa się funktora ' $\in$ ' ewidentnie dystrybutywnie (s. 129).

się na teorii implikatur konwersacyjnych (Grice'a), zgodnie z którymi interpretację wypowiedzi zawierających okazjonalizmy otrzymujemy przez zastosowanie tzw. zasady kooperacji oraz maksym konwersacyjnych<sup>5</sup>.

Jeżeli chodzi o koncepcję (a), to Autorka rozważa jej modyfikację, polegającą na osłabieniu wymagania, aby relacja, wiążąca indeks z referentem (np. tożsamość, bycie-częścią, obrazowanie, ukonkretnienie/egzemplifikacja, korelacja konwencjonalna itd.) była relacją faktyczną; mimo takiego osłabienia Autorka uważa koncepcję tę za nieprzydatną do rekonstrukcji sensu okazjonalizmów deskryptywnych: użycie deskryptywne „nie jest rodzajem referencji przeniesionej” (s. 103)<sup>6</sup>.

Jeśli chodzi o interpretację (b), to według Autorki postulowany w niej dodatkowy poziom interpretacyjny można zignorować i przejść „od razu do interpretacji deskryptywnej”, ponieważ „poziom wskazany lub wyznaczony przez znaczenie językowe pełni w interpretacji deskryptywnej funkcję jedynie pomocniczą i nie jest na żadnym etapie referentem wyrażenia” (s. 124).

Jeśli chodzi o interpretację (c), to zasadnicze wątpliwości Autorki budzi sprawa identyfikowalności sytuacji minimalnej (s. 147 i nn.), zwłaszcza w wypadku stanów rzeczy statycznych, *scil.* niezdarzeniowych (s. 153), oraz stosowalności pojęcia sytuacji minimalnej<sup>7</sup> do opisu okazjonalizmów deskryptywnych (s. 137), a w wypadku wersji referencyjno-deskryptywnej – to, że została ona «dopasowana» jedynie do kontekstów z kwantyfikatorami przysłówkowymi typu „zawsze”, „za-

<sup>5</sup> Koncepcje (e) są omówione nie w rozdziale III, lecz IV (s. 195 i nn.).

<sup>6</sup> Nie jestem, podobnie jak Autorka, wielbicielem rodzajów – ani tym bardziej specjalistą od rodzajów – ale wbrew Autorce uważam, że w ich statusie ontycznym i w mówieniu o nich nie ma nic tajemniczego. Zdanie „Kondory kalifornijskie praktycznie wymarły” (s. 107) mówi coś o klasie tych skądinąd obrzydliwych ptaków. Łatwo sobie uświadomić, co mianowicie mówi, jeśli będziemy pamiętać, że „wymarły” to nie to samo co „umarły”. Otóż pewna klasa organizmów *K* jest w chwili *T* wymarła, gdy w chwili *T* nie istnieje (*scil.* nie żyje) żaden element klasy *K*; jest zaś praktycznie wymarła, gdy żyjących elementów jest niewiele (a najlepiej, gdy na dodatek wszystkie żyjące elementy są bezpłodne). Skądinąd klasa, do której odnosi się w takich kontekstach wyrażenie typu „kondory kalifornijskie” – i analogicznie np. „wilki w Bieszczadach” – nie jest „grupą kolektywną” (s. 109), chyba że słowo „kolektywny” jest używane w jakimś nie-mereologicznym sensie.

<sup>7</sup> Zgodnie z definicją autorki „minimalna sytuacja, w której prawdziwy jest sąd *p*, to taka, że w żadnej sytuacji, która jest jej częścią właściwą, sąd *p* nie jest już prawdziwy” (s. 147).

zwyczaj” *etc.* (s. 141 i n.). Trudności rodzi również zastosowanie w miejsce sytuacji minimalnych – tzw. sytuacji egzemplifikujących i ich kombinacji, ani w szczególności sytuacji kwantowalnych (s. 157 i nn.).

Jeśli chodzi o interpretację (d), to za jej zasadniczą wadę Autorka uznaje niemożliwość rozciągnięcia jej na całą klasę okazjonalizmów (s. 163 i nn.); ponadto posiada ona wady interpretacji (c) w wersji Elbourne’a.

Jeśli chodzi o interpretację (e), to Autorka ma różnym jej wersjom do zarzucenia m.in. to, że nie obejmują one anafory, chociaż rzekomo anafory nadają się do zinterpretowania w kategoriach proceduralnych (s. 168 i n.), bądź to, że na ich gruncie nie odróżnia się referencji przeniesionej i użyć deskryptywnych (s. 173).

Jeśli chodzi o interpretację (f), to jej nieadekwatność Autorka widzi przede wszystkim w „braku jasnych reguł, na czym się opieramy w niektórych węzłowych krokach derywacji implikatury” (s. 200).

**2.** Jako alternatywną względem koncepcji referencyjnych, sytuacyjnych, pragmatycznych i (nazwijmy je tak na własną odpowiedzialność) konwersacyjnych Autorka proponuje – w rozdziale IV – anaforyczną interpretację okazjonalizmów deskryptywnych. Mam wrażenie – chociaż nie jest to dostatecznie dobitnie powiedziane przez Autorkę, że swoistość tej koncepcji leży w czterech punktach.

Po pierwsze, na gruncie tej koncepcji „interpretacja poprzez mechanizm anafory deskryptywnej uruchamiana jest na skutek niespójności pomiędzy ogólnością kwantyfikatora a jednostkowością referencyjnej [preferowanej zwykle] interpretacji wyrażenia okazjonalnego” (s. 224), bądź na skutek „różnego rodzaju niedostępności referenta” (s. 232), bądź „na skutek braku relewancji lub na skutek jawnej fałszywości interpretacji referencyjnej” (s. 234), bądź na skutek niedostępności interpretacji klasycznie anaforycznej (s. 252).

Po drugie, na gruncie tej koncepcji, podobnie jak w wypadku klasycznej anafory „wyrażenie okazjonalne dziedziczy swą wartość semantyczną od poprzednika [*scil.* wyrażenia zastępowanego], ale inaczej, niż jest to w klasycznej anaforze [gdzie wyrażenie zastępowane jest częścią kontekstu językowego], ten poprzednik znajduje się w kontekście pozajęzykowym wypowiedzi” (s. 177). W tym sensie – okazjonalizm deskryptywny jest niesamodzielny semantycznie (s. 178).

Po trzecie, na gruncie tej koncepcji tą dziedziczoną wartością semantyczną są na ogół nie desygnaty, czyli (jak mówi Autorka ogół-

niej) referenty poprzednika, lecz jego konotacja, czyli (jak mówi Autorka) „cecha wyznaczająca zbiór kontekstowy kwantyfikatora” (s. 183)<sup>8</sup>.

Po czwarte, na gruncie tej koncepcji „niektóre przypadki deskryptywnych użyć wyrażen okazjonalnych [...] wymagają połączenia” (s. 241) interpretacji deskryptywnej i interpretacji referencyjnych.

Źródłem tej interpretacji jest – słuszne – spostrzeżenie Autorki, że „dla skuteczności anafory nie potrzebujemy [...] poprzedników lingwistycznych, ale konieczna jest wysoka dostępność kontekstowa zamierzonego referenta” (s. 180) – a ponadto tylko uznanie konotacji za dziedziczną wartość semantyczną pozwala podać naturalne parafrazy wypowiedzi z kwantyfikatorami (jawnymi lub domyślnymi) i z okazjonalizmami stojącymi w semantycznym «konflikcie» z tymi kwantyfikatorami.

W mojej ocenie anaforyczna interpretacja okazjonalizmów deskryptywnych, zaproponowana przez Autorkę, jest koncepcją trafną; świadczy o tym fakt, że radzi sobie ona doskonale z typowymi przykładami, rozważanymi w obrębie konkurencyjnych koncepcji (por. s. 225 i nn.), a „potencjalne zarzuty” wobec tej koncepcji (s. 203 i nn.) uważam, podobnie jak Autorka, za dające się bez trudu uchylić.

**3.** Poza centralnym problemem interpretacji okazjonalizmów deskryptywnych Autorka prezentuje, analizuje i koryguje pojawiające się w dyskusjach na ten temat rozwiązania problemów mniej lub więcej łączących się z owym problemem centralnym.

I tak – w § 2.1. Autorka przedstawia dyskusję na temat eliminowalności okazjonalizmów (z języka naturalnego). W pełni podzielam pogląd Autorki, wyrażony w § 2.1.3, że to, co się często uznaje za tezę o eliminowalności okazjonalizmów, i to, co uchodzi niekiedy za tezę o ich nieliminowalności – nie są to tezy ze sobą sprzeczne. Wzmocniłbym nawet ten pogląd. Warunkiem niezbędnym rozumienia wyrażen jest nie tylko znajomość ich znaczenia wewnątrzjęzykowego. Niekiedy niezbędna jest także umiejętność identyfikacji przedmiotów, do które-

<sup>8</sup> Dokonana przeze mnie identyfikacja tradycyjnie pojętej konotacji z „cechą wyznaczającą zbiór kontekstowy kwantyfikatora” jest być może zabiegiem ryzykownym, ale – jak mi się wydaje – dopuszczalnym. Jest on dopuszczalny zwłaszcza w odniesieniu do użyć atrybutywnych, tj. wystąpień okazjonalizmów (typu „ja” i „ty”) w obrębie tzw. mądrości życiowych (s. 221). Dzięki zaproponowanej identyfikacji cała koncepcja zyskuje na przejrzystości. Por. też niżej – zastrzeżenia do pojęcia „wartości semantycznej wyrażenia”.

go dane wyrażenie się odnosi (trudno sobie wyobrazić, aby było inaczej np. w wypadku imion własnych, które nie mają konotacji<sup>9</sup>). Umiejętność taka – oparta na wiedzy poza(czysto)językowej – jest niezbędna zwłaszcza wtedy, gdy wyrażenia są składnikami komunikacji werbalnej. Bywa zaś, że komunikacja ta jest udana dopiero wtedy, gdy jej uczestnicy nie tylko rozumieją pojawiające się w niej wyrażenia, lecz ponadto umieją ustalić, czy te wyrażenia – w szczególności zdania – są prawdziwe; jest tak np. wtedy, gdy oczekuje się prawdziwych odpowiedzi na zadane pytania.

4. Przez wskazanie „semantyki wyrażen okazjonalnych” lub „semantyki DLA wyrażen okazjonalnych” (s. 24, 54 i nn. *etc.*) Autorka rozumie wskazanie, co okazjonalizmy znaczą/oznaczają i/lub wskazanie (dostatecznych i koniecznych) warunków prawdziwości zdań zawierających okazjonalizmy. Dziedzina przedmiotowa, do której odnoszą się okazjonalizmy, i której stan rozstrzyga o prawdziwości zdań je zawierających, bywa przez uwzględnionych przez Autorkę teoretyków różnie charakteryzowana. Autorka omawia w § 2.2 koncepcje indeksowe/indeksyjne (a więc koncepcję tzw. pojedynczego indeksowania u Montague lub podwójnego indeksowania u Cresswella i Kaplana, która w tym ostatnim wypadku połączona jest z tezą o tzw. bezpośrednim odniesieniu) i koncepcje, które nazwałbym „kontekstowymi” (Partridge, Cooper, Heim i Kratzer, Elbourne). Zgodnie z koncepcjami pierwszymi „referent [...] [okazjonalizmów] jest funkcyjnie wyznaczony przez ich znaczenie językowe w kontekście” (s. 65–66); zgodnie z drugimi „wyrażenia okazjonalne są zmiennymi wolnymi, otrzymującymi wartości z kontekstu w sposób nieuregulowany ścisłymi regułami” (s. 66) – w ich wypadku więc to kontekst wyznacza znaczenie językowe.

Według mojej wiedzy – relacja ta jest adekwatna, chociaż muszę przyznać, że same te koncepcje nie są dla mnie uchwytne na tyle, żebym mógł wobec nich zająć stanowisko, przy czym odpowiedzialnością za tę nieuchwytność skłonny byłbym obarczyć nie siebie czy tym bardziej Autorkę – tylko twórców tych koncepcji, których główne punkty giną w powodzi *ad hoc* dobieranych i analizowanych przykładów.

5. To samo mogę powtórzyć o dokonanych przez Autorkę w § 2.3 przeglądzie różnych typów (użyć) okazjonalizmów i różnych propo-

---

<sup>9</sup> Podkreślę, że chodzi o „konotację” w sensie logicznym, gdyż Autorka posługuje się niekiedy terminem „konotacja” w sensie lingwistycznym (por. s. 115).

zycji ich interpretowania – w tym eliminacji lub redukowania jednych do drugich. Autorka w szczególności wymienia – i omawia – okazjonalizmy deiktyczne (typu „ONA lubi owoce morza, a ON nie” połączone ze wskazaniem odpowiednich osób), anafory niezwiązane (typu „ON nie lubi Johna”), anafory związane (typu „Nikt nie uskarża się, że brak MU rozsądku”) i tzw. ośle anafory (typu „Każdy człowiek, który posiada (jakiegoś) osła, bije GO”). Jest to, z intencji, nie „przedstawienie historii teorii”, lecz „zarysowanie jej głównych idei” (s. 84) – i jako takie można je zaakceptować (z zastrzeżeniami, które egzemplifikuję poniżej).

6. Sformułuję teraz zastrzeżenia wobec książki – i opatrzę je niezbędnymi komentarzami. Zanim to zrobię – jeszcze dwie uwagi.

Po pierwsze, moim zdaniem – waga teoretyczna przedmiotów zastrzeżeń wobec dzieła naukowego jest wprost proporcjonalna do wagi teoretycznej tego dzieła. Otóż wśród sformułowanych niżej zastrzeżeń do książki p. dr Kijani-Placek są takie zastrzeżenia, które dotyczą nie spraw banalnych, lecz właśnie spraw najwyższej wagi teoretycznej. Dlatego też świadczą one o wysokiej wartości książki – niezależnie od tego, czy są zastrzeżeniami trafnymi, czy też można by je (przy pewnych założeniach) oddalić. Warto może przy okazji podkreślić, że tego hipotetycznego tylko statusu zastrzeżeń nie zaznaczam, kiedy je formułuję, uważając, że ich hipotetyczność jest widoczna i bez tego.

Po drugie – chciałbym podkreślić trzy ogólne walory książki, które mają charakter tylko pozornie pozamerytoryczny. Pierwszy z nich – to fakt, że w swoich rozważaniach w pewnym zakresie odwołuje się do tradycji polskich badań nad okazjonalnością<sup>10</sup>. Drugi z nich – to obszerny i świetnie opracowany w szczegółach „Indeks rzeczowy” (s. 279–288); czytelnik wiele z niego skorzysta w trakcie lektury tej gęstej i miejscami zawikłanej rozprawy – sprawdziłem to na sobie. Trzeci z nich wreszcie – to język książki: zasługujący na najwyższą ocenę<sup>11</sup>.

<sup>10</sup> Z satysfakcją odnotowuję istotną obecność tradycji polskiej również w innych pracach Autorki.

<sup>11</sup> Nie zwalnia mnie to od wyliczenia tego wszystkiego, co pod względem językowym i redakcyjnym stanowi defekty książki. Oto pełna lista tych defektów. • Przypisy 13 ze s. 16, 112 ze s. 78, 9 i 10 ze s. 92, 16 ze s. 94, 23 ze s. 99, 28 ze s. 100, 42 ze s. 108, 111 ze s. 144, 133 ze s. 146, 148 ze s. 169, 150 ze s. 172, 7 i 8 ze s. 181, 82 ze s. 233 – powinny się zaczynać wielką literą. • 111<sub>24</sub> – powinno być „kontynentu afrykańskiego”. • 17<sup>9</sup> – powinno być „jako zgody”. • 20 – w definicji „wartości semantycznej” fragment początkowy – do słowa „nazywamy” powinien być ujęty w cudzysłów

Przechodzę teraz do zastrzeżeń.

7. Definicje typu definicji „wartości semantycznej” (s. 20) narażone są na zarzut *ignotum per ignotum*, a być może także zawierają przesunięcia (lub ostrożniej: niejasności) kategoriałne. W wypadku np. definicji podanej przez Autorkę, nie jest jasne, jakiego rodzaju obiektem jest to, do czego odnosi się jej *genus proximum*, tj. wyrażenie „wkład”<sup>12</sup>. W tym sensie definicja ta jest nie tyle „neutralna” (s. 20), ile nieoperatywna<sup>13</sup>. Szkoda, że Autorka nie usuwa tego defektu, chociaż ma – jak się okazuje – pełną świadomość tego, że jest to „wielce pojemne określenie” (s. 100), w istocie o charakterze metafory. Inna sprawa, że konteksty użycia terminu „wartość semantyczna” sugerują, że

(gdyż jest to zwrot metajęzykowy). • 22<sup>20</sup> – konstrukcja amfibologiczna, dopuszczająca m.in. to, że Jan Woleński jest studentem Autorki. • Używanie wyrażen „argument”, „argumentować[, że]” i pochodnych w angielskim sensie (np. 23<sub>12</sub>, 24<sup>6</sup>, 27 – przypis 9, 28<sub>3</sub>, 39<sup>3</sup>, 70<sub>15</sub>, 84<sup>6</sup>, 103<sup>18</sup>, 142, przypis 106, 188<sub>5</sub>, 196<sub>12</sub>, 239 – przypis 90). • Niepoprawne: 23<sub>3</sub> – powinno być „nieprzekonywające”; 29<sup>1</sup>, 67<sup>4</sup>, 72<sup>1</sup>, 73<sup>18</sup>, 241<sup>14</sup> – zamiast „tak naprawdę” powinno być (np.) „w istocie”; 33<sub>17</sub> – niezręczne sformułowanie „SPEŁNIĄC własności”. • *Passim* (por. np. 30) – nie powinno się używać wyrażenia „redukcja x-a do y-a” w takim znaczeniu, w którym jest ono synonimem wyrażenia „wyrugowanie (resp. eliminacja, usunięcie) x-a z z-a”. • *Passim* – brak znaku diakrytycznego ‘~’ nad ‘n’ w nazwisku Castañedy. • 42, przypis 39 – powinno być „zgodna”. • Anglicyzmy: 46<sup>17</sup> – „ta potrzebna”; 49<sup>5</sup> – „tej wyrażonej”; 49<sub>11</sub> – „tej zastosowanej”; 51<sup>6-7</sup>, 103<sub>16</sub>, 108, przypis 43, 111<sup>10</sup>, 117<sup>2</sup>, 170<sub>13-12</sub>, 171<sub>13</sub>, 174<sup>3</sup>, 210<sub>5-4</sub> – „w terminach”; 56<sup>7</sup>, 71<sup>5</sup>, 154<sub>5</sub>, 171<sup>9</sup>, 213<sub>21</sub>, 221<sub>8</sub>, 222<sub>2</sub>, 236<sup>6</sup> – „trywialnie” (i pochodne); 58, przypis 63 – „te różniące się”; 86, przypis 132, 138<sup>1-2</sup> – „ta zaproponowana”; 104<sub>13</sub> – „tymi dotyczącymi”; 148<sup>17</sup> – „te opisane”; 152<sub>16</sub> – „te w tej samej lokalizacji”; 214<sub>17</sub> – „ta dostępna”; 221<sub>16</sub> – „ta wynikająca”. • 75<sub>12</sub> – zbędne słowo „równie”. • Niewłaściwie wyróżnione (tj. napisane małą literą) tytułiki wskazujące różne propozycje eliminacji/redukcji anafor oślich – 76<sup>1</sup>, 77<sup>9</sup> i 81<sup>1</sup>. • 149<sub>15</sub> – powinno być „ocenionymi”. • 217<sub>10</sub> – powinno być „że „zdanie to...””. • 252<sup>16</sup> – powinno być „ZARÓWNO wyrażenia okazjonalne, jak i deskrypcje”. • 254<sup>4</sup> – w cytowanym kontekście angielskie słowo „format” powinno być przełożone jako „oprawa”.

<sup>12</sup> Termin „wkład” pojawia się też w definiensie definicji „sensu nazwy”, zgodnie z którą „sensem nazwy jest wkład, jaki ona czyni w myśli wyrażone przez zdania, w których występuje” (s. 28). Terminu „wkład” Autorka używa też przy omawianiu poglądów Russella (s. 32 i nn.); okazuje się, że tym wkładem jest w tym wypadku „przedmiot, do którego ta nazwa się odnosi”. Ponieważ taki przedmiot nie może być w pewnych wypadkach częścią myśli – gdyż jest np. częścią pozapsychicznej sytuacji, której zajęcie jest w odpowiednim zdaniu stwierdzone (zob. s. 33) – sam sąd w tym wypadku ma również charakter (przynajmniej częściowo) pozapsychiczny. Niekiedy zamiast o wkładzie Autorka mówi o wartości semantycznej (s. 58).

<sup>13</sup> Przez „(nie)operatywność definicji” rozumiem tutaj (nie)nadawanie się definicji do praktycznego rozstrzygnięcia, co w danym wypadku spełnia warunki określone w definiensie.



Autorka mówiąc o wartości semantycznej wyrażenia  $W$  (por. np. s. 92), ma na myśli to, co wyrażenie  $W$  znaczy, czyli, inaczej mówiąc, sens wyrażenia  $W$  (bez specyfikacji, czy chodzi np. o pewien wybrany desygnat wyrażenia  $W$ , czy o denotację wyrażenia  $W$ , czy o konotację wyrażenia  $W$ , czy może o to, co wyrażenie  $W$  – jeśli jest zdaniem – stwierdza).

8. Niektóre charakterystyki obiektów semiotycznych, podane przez Autorkę, wymagałyby odpowiednich uzupełnień, aby nie dopuszczały zbyt wielu (w tym niezgodnych ze sobą) rozumień. Zanalizuję dokładniej – jako egzemplifikację – charakterystykę sądu wyrażonego (po-segmentowałem tę charakterystykę, żeby później łatwiej mówić o jej poszczególnych komponentach):

[1] Przez „sąd wyrażony” będę rozumieć sąd, który został zakomunikowany przez nadawcę w zdaniu, które napisał lub wypowiedział, [2] przez co z kolei rozumieć treść na tyle bogatą, że może być ona podana ocenie pod względem prawdy lub fałszu ([3] jest prawdziwa lub fałszywa). [4] Jest to ta treść, którą mówiący uznaje lub odrzuca, gdy jego akt mowy jest aktem asercji. [5] To do tak rozumianego sądu wyrażonego odnosimy się w następnych zdaniach, gdy je popieramy lub gdy się z nimi nie zgadzamy (s. 21).

Nie jest rzeczą łatwą zrekonstruować na podstawie tej charakterystyki definicję „sądu wyrażonego”. Zaryzykujemy pewną rekonstrukcję (kierując się zasadą życzliwości<sup>14</sup>) po to, żeby pokazać, na czym tu polegają trudności.

[1']. Jeżeli osoba  $N$  napisała/wypowiedziała zdanie  $Z$ , to sąd wyrażony przez zdanie  $Z$  jest to<sup>15</sup> sąd zakomunikowany przez osobę  $N$ .

Oczywiście – dla instruktywności tej formuły istotne jest, czy potrafimy rozstrzygnąć, kiedy coś zostało zakomunikowane lub nie. Wątpliwości tej nie rozstrzyga segment [2], gdyż podaje się w nim (chyba) tylko warunek niezbędny bycia-zakomunikowanym.

[2']. Sąd zakomunikowany przez osobę kogoś jest<sup>16</sup> treścią dającą się określić co do swej prawdziwości lub fałszywości.

Dodatek „na tyle bogaty” wolno chyba opuścić. Natomiast zwrot „dający się określić co do swej prawdziwości lub fałszywości” jest

<sup>14</sup> Zasada życzliwości w tym wypadku głosi, że należy rozważać tylko te interpretacje, których nie uważa się za jawnie błędne.

<sup>15</sup> Funktor „jest to” jest funktorem ekwiwalencji semantycznej (a co najmniej identyfikacji denotacji).

<sup>16</sup> Funktor „jest” interpretowany jest w zależności od okoliczności albo jako należenie-do, albo jako zawieranie-się-w.

echem pseudodefinicji „zdanie w sensie logicznym”, zgodnie z którą zdanie w sensie logicznym jest to wypowiedź prawdziwa lub fałszywa. Na taką genezę wskazuje nawiasowa uwaga [3]. Status tej uwagi, *nb.*, nie jest dobrze określony (nie wiadomo, czy nawias sugeruje, że formuła nawiasowa jest ekwiwalentem, czy tylko konsekwencją definiensa formuły [2]). Skądinąd – niezależnie od tego – formułę [3] można zrekonstruować następująco:

[3'] Sąd zakomunikowany przez kogoś jest treścią prawdziwą lub fałszywą.

W związku z nieokreślonością znaczeniową terminu „treść” formuły [3'] można nadać postać:

[3''] Sąd zakomunikowany przez kogoś jest czymś, co jest prawdziwe lub fałszywe.

Teraz – jeśli w segmencie [4] zwrot „jest to” użyty jest świadomie, to segment ten można przeformułować do postaci:

[4'] Jeżeli osoba *N* pisząc/wypowiadając zdanie *Z* dokonuje aktu asercji, to treść wyrażona przez zdanie *Z* jest to treść, którą osoba *N* uznaje lub odrzuca.

Pomijam to, że niełatwo jest podać precyzyjną parafrazę poprzednika tej implikacji (tj. zdania o strukturze „*x* robiąc *y*, robi *z*”). Istotna trudność leży w relacji między asercją a uznawaniem/odrzucaaniem – zwłaszcza, że niżej Autorka pisze, że „sądy są tym, wobec czego żyjemy nastawienia sędzeniowe” (s. 21)<sup>17</sup>. W każdym razie przynajmniej w niektórych kontekstach *N* dokonuje asercji względem *Z* (czyli jest w nastawieniu sędzeniowym do *Z*?), to tyle, co *N* uznaje lub odrzuca *Z*. Mamy więc ostatecznie kolejną – po [2'] i [3'] próbę precyzacji terminu „sąd zakomunikowany”:

[4''] Sąd zakomunikowany przez osobę *N* jest czymś, co jest uznawane lub odrzucane przez osobę *N*.

Ostatnia wątpliwość dotyczy tego, czy [5] należy rozumieć jako alternatywne objaśnienie sensu terminu „sąd wyrażony”, czy też jako powiedzenie „innymi słowy” tego samego, co mówi [4].

<sup>17</sup> Omawiając poglądy Fregego Autorka stawia znak równości między sądami a myślami (s. 24<sub>20</sub>), a zamiast o tym, że zdanie wyraża sąd – mówi niekiedy, że zdanie uchwytyuje myśl (s. 27<sup>5</sup>). Nie jest to równość oczywista; o ile bowiem – przy pewnych założeniach – można się zgodzić, że zdania Fregego o Gwieździe Porannej i Gwieździe Wieczornej wyrażają/uchwytyują inne myśli (w sensie psychologicznym?), o tyle wyrażany/uchwytywany sąd (w sensie logicznym?) w obu wypadkach jest ten/taki sam – z czego (jak można sądzić o uwagach ze s. 28) Autorka zdaje sobie sprawę. Por. w tej sprawie także uwagę na s. 30.

[5'] Jeżeli popieramy lub nie zgadzamy się ze zdaniem *Z*, to sąd wyrażony przez zdanie *Z* jest to sąd, który (odpowiednio) popieramy lub z którym się nie zgadzamy.

Nie da się wykluczyć, że ostatecznie mówi się tutaj jedynie, że wyrażenia „*x* wyraża *y*” i „*x* komunikuje *y*” są synonimami.

Rekonstrukcja powyższa pokazuje w każdym razie, że na podanej przez Autorkę charakterystyce sądu wyrażonego nie można poprzestać, jeśli ma to być – jak głosi tytuł paragrafu – „ustalenie terminologiczne”.

**9.** Drugi przykład charakterystyki, którą należałoby przeformułować, jeśli miałyby służyć jako precyzyjna i «sprawna» definicja – to zaproponowana przez Autorkę charakterystyka anafory uogólnionej, która brzmi (podobnie jak wyżej – segmentuję tę charakterystykę dla ułatwienia rekonstrukcji):

[1] Anaforą nazywamy niesamodzielne semantycznie wystąpienie wyrażenia okazjonalnego, [2] wymagające pośrednictwa innego, [3] występującego jawnie lub niejawnie, [4] wyrażenia albo przedmiotu, który w kontekście nabiera znaczenia semantycznego (jest środkiem wyrazu treści), i [5] od którego to wyrażenia lub przedmiotu wyrażenie okazjonalne przejmuje wartość semantyczną (s. 182).

Uważam, po pierwsze, że definicja „wyrażenia okazjonalnego”, zgodnie z intencją Autorki, powinna mieć formę definicji kontekstowej. Proponowałbym następującą rekonstrukcję:

(1) Okazjonalizm *O* użyty jest anaforycznie, gdy okazjonalizm *O* przejmuje wartość semantyczną od pewnego – różnego od okazjonalizmu *O* – przedmiotu *P*.

A teraz komentarze.

(a) Zwrot o niesamodzielnosci semantycznej można – jak sądzę – opuścić.

(b) Podobnie można opuścić segment [2], gdyż wystarczy zamiast niego to, że w segmencie [5] mówi się o przejmowaniu.

(c) Ponieważ wyrażenie jest także przedmiotem – w segmencie [4], zawierającym skądinąd łatwo usuwalną amfibolię, można opuścić słowo „wyrażenie”<sup>18</sup>.

<sup>18</sup> Tu słowo „przedmiot” rozumiane jest tak, jak się go tradycyjnie rozumie w ontologii, tj. jako nazwa najogólniejsza. Autorka posługuje się tym słowem w odniesieniu do pewnego podzbioru przedmiotów w tradycyjnym sensie, skoro pisze np. o tym, że zmienne wiązane przez kwantyfikatory przysłówkowe mogą przebiegać „zarówno zdarzenia, jak i przedmioty” (s. 193).

(d) Ponieważ nie można PRZEJAĆ wartości semantycznej od przedmiotu, który jej nie ma, dodatek – z segmentu [4] – że przedmiot ów ma „znaczenie semantyczne” lub „jest środkiem wyrazu treści”, można opuścić<sup>19</sup>.

W związku z segmentem [3] i komentarzem (c) – definicja mogłaby, a może nawet powinna, zostać uzupełniona dwiema tezami, które jednak nie są CZĘŚCIĄ definicji (1):

(2) Przedmiot *P* może występować jawnie bądź niejawnie.

(3) Przedmiot *P* może być wyrażeniem językowym bądź przedmiotem nie będącym wyrażeniem językowym, który to przedmiot jednak w odpowiednim kontekście nabywa wartości semantycznej.

Oczywiście same twierdzenia (2) i (3) należałoby następnie obudować odpowiednimi komentarzami. Należałoby również sprecyzować, na czym polega przejmowanie (*resp.* dziedziczenie) wartości semantycznej jakiegoś wyrażenia od innego przedmiotu.

**10.** Zdając sprawę z poglądów Twardowskiego na okazjonalizmy, powinniśmy pamiętać, że sądy kontrastuje on nie ze zdaniami, lecz z powiedzeniami. Według Twardowskiego – dany sąd może zostać wypowiedziany na różne sposoby, przy czym częścią powiedzenia (w różnym stopniu) są „okoliczności, w których wypowiadamy sąd”. Dlatego nie jest zgodne z intencją Twardowskiego ujęcie Autorki (por. s. 29), według którego wypowiedziane w takich samych okolicznościach zdania:

(1) Teraz i tutaj pada deszcz.

(2) Dnia 1 marca 1900 r. wedle Kalendarza gregoriańskiego o godzinie 12 w południe wedle czasu środkowo-europejskiego pada we Lwowie na Górze Zamkowej i w jej okolicy deszcz.

– są równoznaczne. A tylko takie ujęcie prowadzi do przypisywanej Twardowskiemu tezy o „redukowalności wyrażen okazjonalnych” (s. 30). Otóż to nie o zdaniach (1) i (2) mówi Twardowski, że znaczą „zupełnie to samo” (s. 29). Twardowski pisze wyraźnie: „Cały ten szereg wyrazów [*scil.* „dnia 1 marca” *etc.*] znaczą zupełnie to samo, co SŁÓWKO „TERAZ” W OWEJ WYRZECZONE CHWILI” (podkreślenie moje, JJ). Słowo „teraz” i zwrot „słowo „teraz” wyrzeczone w określonej chwili” – to nie są przecież te same obiekty. Gdybyśmy

<sup>19</sup> Zakładam, że wyrażenia „znaczenie semantyczne”, „wartość semantyczna” i „treść” – oraz odpowiednio „posiadanie znaczenia semantycznego”, „posiadanie wartości semantycznej” i „bycie środkiem wyrazu treści” – są synonimami.

więc chcieli przeformułować tezę „redukowalności wyrażań okazjonalnych”, przy uwzględnieniu wskazanej różnicy, musielibyśmy jej nadać postać typu:

Każdy sąd wypowiedziany w dostatecznie określonych okolicznościach za pomocą wyrażenia zawierającego okazjonalizmy, da się wypowiedzieć za pomocą zdania nie zawierającego żadnych okazjonalizmów<sup>20</sup>.

Od dawna zwracałem uwagę na to, że w pustym kontekście – powiedzenia zawierające okazjonalizmy trzeba traktować nie jako zdania, lecz jako FUNKCJE zdaniowe; żadna zaś funkcja zdaniowa nie może być synonimem zdania (zamkniętego).

**11.** Zrelacjonowana przez Autorkę koncepcja eliminacji okazjonalizmów podana przez Reichenbacha (s. 35 i n.), ma pewną istotną wadę<sup>21</sup>.

Nie pomył się chyba mówiąc, że dokonać eliminacji okazjonalizmów ze zdania  $\alpha$ , to tyle, co wskazać zdanie  $\beta$  takie, że stwierdza ono zachodzenie tego samego stanu rzeczy, który jest stwierdzany przez zdanie  $\alpha$  wypowiedziane w stosownych okolicznościach – przy czym zdanie  $\beta$  nie zawiera już żadnego okazjonalizmu. Otóż wyrażenie „the  $x$  that spoke  $\Theta$ ” zawiera okazjonalizm „the  $x$ ” (łatwiej to może wyczuć

<sup>20</sup> Zakłada się tu oczywiście, że wypowiedzianie jest w obu wypadkach operacją uwieńczoną sukcesem (a nie PRÓBĄ wypowiedzenia, która może się okazać próbą nieudaną). Nie zajmuję tu stanowiska w sprawie prawdziwości tej formuły, co do której można mieć poważne zastrzeżenia w związku z tym, że np. lokalizacja czasowa, a zapewne i przestrzenna, są w nieusuwalny sposób zrelatywizowane do pewnego układu odniesienia, którym w wypadku np. dat jest obecnie rok narodzenia Chrystusa (relatywizacja!), a w wypadku lokalizacji przestrzennej – «aktualne» (okazjonalizm!) położenie Ziemi.

<sup>21</sup> Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę na to, że zdanie (15) ze s. 36 – „Nie mogę uwierzyć, że z tobą rozmawiam” – ma dwie dopuszczalne interpretacje. W mowie są one różnicowane za pomocą akcentu: (a) „Nie mogę uwierzyć, że z tobą ROZMAWIAM” *versus* (b) „Nie mogę uwierzyć, że z TOBĄ rozmawiam”. Wersję (1) oddalibyśmy przez: „Nie mogę uwierzyć, że jest pewna osoba, z którą rozmawiam”, a wersję (2) przez: „Nie mogę uwierzyć, że osoba, z którą rozmawiam, jest RZECZYWIŚCIE osobą, z którą rozmawiam”. Tylko wersja (1) – analogiczna do formuły (16) Autorki – jest „falszywa” lub może nawet „absurdalna”, gdyż nie można rozmawiać bez rozmówcy (tj. osoby, z którą się rozmawia). Pozorna niezręczność wersji (2) występuje także przy parafrazach powiedzeń bez okazjonalizmów, ale z imionami własnymi – typu „Piotr nie może uwierzyć, że rozmawia z Janem”. Jeśli rzeczywiście Piotr z Janem (i tylko z nim) rozmawia, to wolno zidentyfikować Jana jako osobę, z którą rozmawia Piotr. Po podstawieniu mielibyśmy: „Piotr nie może uwierzyć, że rozmawia z osobą, z którą rozmawia (Piotr)”.

w jego polskim odpowiedniku „ten  $x$ , który powiedział  $\Theta$ ”) – nie spełnia zatem warunku podanego dla eliminacji okazjonalizmów. Z tego punktu widzenia Czeżowski nie jest „prawie dosłownym powtórzeniem” Reichenbacha (s. 36). Dla zdania typu „Dziś jest dzień mroźny” proponuje on taką bez-okazjonalną parafrazę (gdzie ‘ $s$ ’ reprezentuje całe to zdanie, ‘ $M$ ’ reprezentuje człon „jest dniem mroźnym”, a ‘ $S$ ’ – człon „odnosi się do”):

$$\forall x\{Ssx \wedge \forall y [(Ssx \wedge Ssy) \rightarrow x = y] \wedge Mx\}.$$

Nie miejsce tu na to, aby się wypowiadać na temat trafności tej parafrazy, ale ważne jest, że nie ma w niej na pewno OKAZJONALIZMÓW (‘ $x$ ’ nie jest tu poprzedzone przez „the”, tylko jest związane partykularyzатorem).

**12.** Koncepcja Bar-Hillela, z której zdaje sprawę Autorka (s. 41 i nn.), posiada mankament, którego Autorka nie odnotowuje. Zdania „Jestem (teraz) głodny”, wypowiedzianego przez osobę  $A$  do osoby  $B$  w chwili  $T$ , nie można uważać za ekwiwalent zdania „Osoba  $A$  w chwili  $T$  jest głodna” przede wszystkim dlatego, że osoba  $A$  może w chwili  $T$  wypowiedzieć zdanie „Jestem (teraz) głodny”, a nie być (teraz) głodna, gdyż np. się myli co do oceny swego stanu wewnętrznego lub chce świadomie wprowadzić w błąd osobę  $B$  co do swoich przekonań. Dlatego pytanie w związku z kwestią eliminowalności okazjonalizmów brzmi tutaj, czy równoważne (*resp.* równoznaczne) są zdania:

(1) Osoba  $A$  mówi [do osoby  $B$ ] w chwili  $T$ : „Jestem (teraz) głodny”.

(2) Osoba  $A$  mówi [do osoby  $B$ ] w chwili  $T$ , że osoba  $A$  jest w chwili  $T$  głodna.

Oczywiście ani z (1), ani z (2) nie wynika, że:

(3) Osoba  $A$  jest w chwili  $T$  głodna.

To, czy i jak osoby  $A$  i  $B$  umieją zidentyfikować chwilę  $T$ , jest JEDNAKOWYM problemem i w wypadku zdania (2), i w wypadku zdania (1). Ale zdanie (2) z pewnością nie zawiera okazjonalizmów.

**13.** Autorka uznaje, że Geachowski przykład oślej anafory:

(1) Każdy człowiek, który posiada (jakięś) ośła, bije go. MOŻE BYĆ dwuznaczny (s. 76, przypis 105). Skłonny byłbym sprecyzować tę dwuznaczność, dając dwóm znaczeniom następujące interpretacje (przy ‘ $C$ ’ symbolizującym bycie człowiekiem, ‘ $O$ ’ – bycie osłem, ‘ $P$ ’ – relację posiadania, a ‘ $B$ ’ – relację bicia:

(1')  $\forall x\forall y \{[(Cx \wedge Oy) \wedge Pxy] \rightarrow Bxy\}$ .

(1'')  $\wedge x \wedge y \{[(Cx \wedge Oy) \wedge Pxy] \rightarrow \forall z (z = y \wedge Bxz)\}^{22}$ .

To, że interpretacji takich nie dopuszcza tzw. teoria wiązania i pogląd, że zaimek „go” MUSI odnosić się do jednego przedmiotu (tu: osła), można uznać za falsyfikację tej teorii. Nawiasem mówiąc, aby uniknąć dwuznaczności można by zamiast (1) wypowiedzieć – co najmniej «mniej» dwuznaczne zdanie:

(2) Każdy człowiek, który posiada osły, bije je (wszystkie).

Zdanie (2) ma chyba sens taki sam, jak zdanie w stronie biernej:

(3) Wszystkie osły są bite przez ludzi, którzy je posiadają.

Przykłady podane przez Autorkę, które by blokowały odpowiednie modyfikacje teorii wiązania, nie wydają mi się nie do reinterpretacji. Nie mogę tego jednak tutaj bliżej uzasadniać, gdyż wymagałoby to zbyt drobiazgowej (a przez to zbyt długiej) ekspozycji. Powiem tylko krótko, że wszelka ogólna koncepcja takich anafor powinna być poprzedzona sformułowaniem reguł ustalania zasięgu kwantyfikacji w zdaniach języka naturalnego. Miarą trafności takich reguł byłoby to, czy wyznaczają adekwatną (względem intuicji) interpretację skwantyfikowanych wypowiedzi języka naturalnego zawierających okazjonalizmy. Jako dodatkowy warunek należałoby przyjąć, że podawane przykłady z języka naturalnego są rzeczywiście – «naturalne» (nie jest np. «naturalna» – w każdym razie w języku polskim – wypowiedź (50) ze s. 81). Warunek ten należałoby zresztą rozszerzyć na wszelkie przykłady wykorzystywane do sprawdzania analizowanych hipotez. Nie uznałbym za poprawną wypowiedzi „Nie powinnaś była tego robić; ona mogła być groźnym kryminalistą” (s. 220); powiedziałbym raczej „Nie powinnaś była tego robić; to mógłby być groźny kryminalista” – co znacznie osłabiłoby moc argumentacyjną tego przykładu.

Innym przykładem takiej – powiedzmy ostrożnie – nie całkiem poprawnej wypowiedzi jest zdanie ze s. 90:

(1) Jutro zawsze mamy noc największych imprez w roku.

Które ma być przykładem deskryptywnego użycia okazjonalizmu (tu: „jutro”). Wydaje mi się, że poprawniejsze byłoby zdanie:

(1') Jutro, jak zawsze, mamy noc największych imprez w roku.

Jeśli mam rację, to należałoby frazę „...jak zawsze...” rozumieć jako elipsę, która po rozwinięciu daje:

<sup>22</sup> Nie jest to może argument decydujący, ale kiedy przed laty miałem przyjemność rozmawiać o tym z Profesorem Geachem, nie zakwestionował On takiej precyzacji. W każdym razie precyzacje te wydają mi się prostsze niż interpretacja Coopera, przedstawiona jako (51) na s. 82.

(2) ... jak każdej soboty poprzedzającej rozpoczęcie roku akademickiego...

Słowo „jutro” odnosi się, przy takiej interpretacji, do najbliższej z takich sobót.

**14.** Bardzo ważnym pojęciem, należącym do aparatury terminologicznej Autorki, jest pojęcie sądu ogólnego – jako sądu, który jest wyrażany (m.in.) przez okazjonalizmy deskryptywne. Mam pewne wątpliwości co do tego, czy jest to pojęcie dobrze skonstruowane.

W „Ustaleniach terminologicznych” czytamy:

Sądem ogólnym nazywam każdy sąd o strukturze kwantyfikatorowej, czyli zarówno sąd wyrażony przez kwantyfikację generalną [...], jak i sąd wyrażony przez kwantyfikację egzystencjalną, a także dowolną inną kwantyfikację. [...] Sąd ogólny jest ogólny w tym sensie, że jeżeli w ogóle można powiedzieć o czym ten sąd coś stwierdza, to będzie to stwierdzenie o całym świecie” (s. 21–22).

Najprostsze sądy ogólne wyglądałyby więc tak:

(1)  $\forall x (Px)$ .

(2)  $\exists x (Px)$ .

W przeciwieństwie do tego sąd typu:

(3)  $Pa$ ,

gdzie ‘ $a$ ’ jest stałą indywidualową, byłby sądem jednostkowym.

Wydawałoby się, że taka charakterystyka zamyka sprawę, gdyż występowanie w danym zdaniu kwantyfikatora jest bezproblemycznie stwierdzalne. To, że sąd typu (3) da się (przy pewnych założeniach) zinterpretować jako:

(4)  $\forall x (x = a \wedge Px)$ ,

wolno zignorować (odrzucając np. te założenia).

Jednakże Autorka dodatkowo wiąże ogólność sądów z dwoma zjawiskami.

Najpierw pisze, że sąd jednostkowy typu (3) jest o  $a$ , zaś w wypadku sądu ogólnego typu (2) „jeśli w ogóle można powiedzieć o czym ten sąd coś stwierdza, to będzie to stwierdzenie o całym świecie – „Istnieje wysoki mężczyzna” stwierdza, że świat jest taki, ma taką własność, że istnieje w nim wysoki mężczyzna” (s. 21)<sup>23</sup>. Pomijam pytanie, po co ten dodatek do czysto syntaktycznej definicji „sądu ogólnego”. Ważniejsze jest to, że jeżeli chcemy powiedzieć w sposób odpowiedzialny,

<sup>23</sup> Byłaby to analogia do zdań typu „W Polsce istnieje urząd wojewody” jako zdań o Polsce. Pytanie – czy analogia ta się nie załamuje w wypadku zdań typu „Istnieje najmniejsza liczba pierwsza”. O jakim świecie się tutaj mówi?



o czym jest jakiś sąd, to powinniśmy sprecyzować kryteria bycia-oczymś. Zauważmy, że intuicji, które mogą tutaj być punktem wyjścia, jest *multum*. Po pierwsze – można uznać, że sąd ogólny (w sensie syntaktycznym) jest o przedmiotach należących do zakresu zmiennych związanych przez kwantyfikatory występujące w tym sądzie (to jest np. intuicja Quine’a)<sup>24</sup>. Po drugie – można uznać, że sąd ogólny jest o cechach lub relacjach, do których odnoszą się predykaty występujące w tym sądzie, lub – jeśli tych predykatów jest co najmniej dwa, jak w sądzie typu:

$$(5) \wedge x (Px \rightarrow Qx),$$

jest zależność między odpowiednimi cechami (o tej możliwości wspomina Autorka w przypisie 21 ze s. 22 oraz w relacji z poglądów Recanatiego na s. 144). Po trzecie – można uznać, że sąd ogólny jest o całym stanie rzeczy, który jest w tym sądzie stwierdzany – lub o wszystkich (a nie tylko niektórych, jak poprzednio) składnikach owego stanu rzeczy.

Później mamy jednak zagadkowe rozważania na temat pytania, czy jeżeli referent okazjonalizmu jest cechą, to zdanie, w którym ten okazjonalizm występuje, wyraża sąd ogólny (s. 100 i nn.). Konkluzją tych rozważań jest negatywna odpowiedź na to pytanie, ale jej uzasadnienie pozostawia wiele do życzenia. Dla przykładu: Autorka twierdzi, że zdanie „Kwadratowość jest łatwo zdefiniować” jako zdanie o CESZE (a mimo to nie wyrażające sądu ogólnego), gdy tymczasem równie naturalne byłoby uznanie, że jest to zdanie o nazwie „kwadratowość”, a więc o NAZWIE PEWNEJ CECHY.

### 15. Z drobniejszych zastrzeżeń:

(A) Nie bardzo rozumiem, dlaczego przytaczana przez Autorkę tzw. maksyma ilości Grice’a (s. 195), jest opatrzona przypisem: „To lapidarne sformułowanie maksymy ilości przytaczam za Grudzińską (2007, s. 107). Por. Grice (1975, s. 45). Rzecz w tym, że jest to po prostu przekład oryginalnego sformułowania samego Grice’a, który zresztą podaje jeszcze lapidarniejszą jego wersję: „Niech twój wkład nie zawiera więcej informacji, niż trzeba”<sup>25</sup>. Nawiasem mówiąc odsyłać do Grice’a jest w tym przypisie błędny; to samo dotyczy odsyłacza na s. 197.

<sup>24</sup> Tak trzeba chyba rozumieć także sformułowanie Autorki, że „odczytanie ogólne” zaimka „my” odnosi się do „kogokolwiek”, kto należy do odpowiedniego zbioru (s. 132).

<sup>25</sup> Zob. H. P. Grice, *Logika a konwersacja* [w:] B. Stansz (red.), *Język w świetle nauki*, Warszawa 1980, s. 97.

(B) Sprawa ta na ogół nie powoduje nieporozumień, ale unikałbym używania symbolu ‘ $\varphi$ ’ zarówno jako zmiennej zdaniowej, jak i zmiennej nazwowej (dla nazw zdań). Szkoda, że Autorka pisze i „Może być tak, że  $\varphi$ ” i „ $\varphi$  jest prawdziwe” (s. 213 i n.).

(C) Nazwy, „które odnoszą się do pojedynczych przedmiotów” (a więc imiona własne i deskrypcje określone), Autorka nazywa „wyrażeniami jednostkowymi” (s. 24, przypis 4). W terminologii polskiej od dawna przyjęty jest termin „NAZWA jednostkowa”.

16. Są jeszcze zastrzeżenia skierowane nie do referentki, lecz do referowanych autorów. Oto najważniejsze z tych zastrzeżeń.

(A) Ujęcie (Kripkego), zgodnie z którym jeśli słowo „ja” wypowiedziane jest przez Piotra, to „nazwą, która się do Piotra odnosi” jest twór w postaci „„ja” wraz z Piotrem” (s. 26<sup>17</sup>) – jest co najmniej... niekonwencjonalne. Natomiast przypisywanie tego ujęcia także Fregemu – na tej podstawie, że „to” jest nazwą dopiero w połączeniu z „odpowiednim gestem wskazującym” (s. 26<sup>2</sup>) – jest nieporozumieniem. Gest wskazujący nie jest Piotrem, nawet jeśli na Piotra jest nakierowany – podobnie jak częścią drogi, prowadzącej (z Warszawy) do Krakowa, nie jest Kraków.

(B) Niedawno ukazał się artykuł dotyczący eksperymentów myślowych, którego jestem współautorem<sup>26</sup>. Eksperyment myślowy Burksa, opisywany przez Autorkę (s. 40), potwierdza postawioną w tym artykule diagnozę – o nikłej wartości teoretycznej owych eksperymentów zarówno w nauce, jak i w szczególności w filozofii<sup>27</sup>. Wywód Burksa ma stanowić uzasadnienie poglądu, że pełnej eliminacji okazjonalizmów z języka nie da się przeprowadzić. Wywód ten wygląda mniej więcej następująco: Załóżmy, że świat składa się z dwóch «lustrzanych» połówek. Nie da się skonstruować wyrażeń (nieokazjonalnych), za pomocą których można by identyfikować odpowiadające sobie «lustrzane» obiekty; da się to zrobić tylko za pomocą okazjonalizmów. A zatem (*sic!*): pełnej eliminacji okazjonalizmów z języka nie da się przeprowadzić. Pytanie tylko – z KTÓREGO języka? Burks

<sup>26</sup> Por. A. Brożek, J. Jadacki, *Eksperymenty myślowe w nauce*, „Filozofia Nauki”, R. XX (2012), nr 1 (77), s. 5–34; *Eksperymenty myślowe w filozofii*, „Filozofia Nauki”, R. XX (2012), nr 2 (78), s. 5–27.

<sup>27</sup> Autorka zresztą ma również – co najmniej – wątpliwości co do stosowania eksperymentów myślowych w filozofii, a w każdym razie co do tego, jak wyznaczać „granice eksperymentów myślowych, poza którymi wszystko jest już dozwolone, a więc żaden wynik nie ma wagi filozoficznej” (s. 203).

wykazuje jedynie – że z języka opisującego jego wymyślony świat, a nie świat rzeczywisty, który opisywany jest przez rzeczywiste języki naturalne.

(C) „Wpływowa” argumentacja Castañedy – o której pisze Autorka (s. 47 i nn.) – pomija dwuznaczność zdania, której zachodzenie bardzo osłabia ową argumentację (a być może w ogóle ją uniemożliwia):

(1) Redaktor naczelny *Soul* wie, że on (sam) jest milionerem.

Zdanie (1) może znaczyć tyle, co zdanie:

(2) Osoba, która jest redaktorem naczelnym *Soul*, wie, że redaktor naczelny *Soul* jest milionerem.

Może jednak także znaczyć tyle, co zdanie:

(3) Redaktor naczelny *Soul*, wie, że osoba, która jest redaktorem naczelnym *Soul*, jest milionerem.

Oznaczmy wyrażenie „redaktor naczelny *Soul*” przez ‘*s*’, „bycie redaktorem naczelnym *Soul*” przez ‘*S*’, a „bycie milionerem” przez ‘*M*’. Zamiast zdań (2) i (3) wolno nam wtedy dać:

(2')  $\forall x [Sx \wedge x \text{ wie, że } \wedge y (y = s \rightarrow My)]$ .

(3')  $s \text{ wie, że } \wedge y (Sy \rightarrow My)$ .

Otóż *s* może oczywiście nie wiedzieć, że jest *x*-em, o którym mowa w (2'); nie może jednak nie wiedzieć, że  $\wedge y (Sy \rightarrow My)$ , jeśli prawdziwe jest zdanie (3').

(D) Punkt wyjścia rozumowania Perry'ego (s. 50) nasuwa następującą wątpliwość. Wyjdźmy od podanego przez niego przykładu, czyli dwóch zdań:

(1) Zebranie zaczyna się teraz.

(2) Zebranie zaczyna się w południe 15 września 1976 roku.

Załóżmy przy tym, że teraz jest właśnie południem 15 września 1976 roku, a więc (2) jest ekwiwalentem (1). Perry twierdzi, że tak nie jest, gdyż pomyślenie (1) może stanowić bodziec dla osoby *O*, która je żywi, aby niezwłocznie udać się na zebranie – podczas gdy pomyślenie (2) do niezwłocznego udania się na zebranie nie skłoni, jeśli pomyślenie (2) miało miejsce np. miesiąc temu. Ale przecież to nie samo pomyślenie (1) czy (2) skłania osobę *O* do owego działania, lecz pomyślenie jednego lub drugiego w koniunkcji z dyrektywą:

(3) Jeżeli zebranie *Z* zaczyna się w chwili *T*, to osoba, która ma obowiązek (*resp.* chęć) uczestniczyć w zebraniu *Z*, powinna «w okolicach» chwili *T* (w miarę możliwości – przed chwilą *T*) udać się niezwłocznie na zebranie *Z*.

Dopiero ta dyrektywa – po stwierdzeniu przez osobę *O*, że nadchodzi właśnie chwila *T*, stanowi pobudkę do niezwłocznego udania

się na zebranie *Z*. Jeśli tak jest w istocie, to mielibyśmy parę nie (1) i (2), lecz:

(1') Zebranie *Z* zaczyna się teraz. Skoro teraz jest chwila *T*, to osoba *O* powinna niezwłocznie udać się na zebranie *Z*.

(2') Zebranie *Z* zaczyna się w chwili *T*. Skoro nadeszła chwila *T*, to osoba *O* powinna niezwłocznie udać się na zebranie *Z*.

Oczywiste jest w tym wypadku, że chwila *T* nie nadeszła miesiąc temu.

17. Jak pisze Katarzyna Kijania-Placek w zakończeniu *Pochwały okazjonalności* – „tytułowa „pochwała okazjonalności jest [...] zachwytem nad efektywnością i kreatywnością języka naturalnego, a [zawarta w książce] [...] analiza deskryptywnych użyczeń wyrażań okazjonalnych pokazuje jej nowy wymiar” (s. 254).

Nie podzielałam tego zachwytu Autorki. Cenę za „elastyczność” i „twórczość” (s. 254), wnoszoną do języka naturalnego przez okazjonalizmy, w pewnych okolicznościach warto płacić (w szczególności, gdy mówienie «w przybliżeniu» wystarcza na potrzeby danej konwersacji). Niekiedy cena ta jest jednak za wysoka. Tak się składa, że dobrze by było nie płacić owej ceny np. za okazjonalizm, który występuje w zacytowanym fragmencie zakończenia. Czy „jej” odnosi się do pochwały okazjonalności, do okazjonalności, czy może do efektywności, i kreatywności języka naturalnego? Przystudio-wawszy z uwagą i z zainteresowaniem książkę *Pochwała okazjonalności* – nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Dlatego – okazjonalizmów w sytuacjach, w których chodzi o precyzję, chwalić nie zamierzam.

Krótko mówiąc:

Pochwała *Pochwały okazjonalności* – tak.

Pochwała okazjonalności – nie.

JACEK JADACKI  
(Warszawa)

## W POSZUKIWANIU ISTOTY MIŁOŚCI

Marian Grabowski, *Miłość seksualna. Koncepcja Karola Wojtyły*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2012, s. 331.

Chociaż tytuł książki zapowiada omówienie koncepcji Karola Wojtyły, zamiary Autora są od początku dużo ambitniej zarysowane. W części pierwszej ukazuje on szersze tło współczesnej refleksji o miłości. Odwołując się do koncepcji Maxa Schelera, Dietricha von Hildebranda, Nicolaia Hartmanna, a także Kierkegaarda dookreśla podstawowe pojęcia przydatne do opisu zjawiska miłości. W części drugiej i trzeciej omawia, nie bez krytycznych uwag, myśl Wojtyły. W części ostatniej przedstawia własne odczytanie kilku kluczowych historii biblijnych: Abrahama, Izaaka i Jakuba oraz kilku scen z Ewangelii, scen spotkań Jezusa z kobietami. Inspiracją jest dla niego metoda stosowana przez Wojtyłę, a polegająca na wydobywaniu zawartej w biblijnych tekstach uniwersalnej wiedzy o człowieku.

Karola Wojtyłę chce tutaj Marian Grabowski traktować przede wszystkim jako filozofa-antropologa, dostrzega jego rolę duszpasterza i moralisty, ale pomija rolę teologa i papieża. Dlatego odwołuje się głównie do książki *Miłość i odpowiedzialność*, sztuki *Przed sklepem jubilera* oraz katechez z cyklu *Mężczyznę i niewiastą stworzył ich* – wprawdzie już papieskich, ale opartych na materiałach przygotowywanych jeszcze przez krakowskiego arcybiskupa.

Właściwym celem Autora jest odkrycie i opisanie istoty miłości oraz istoty człowieka, chodzi mu o opis ludzkiej natury, dla której – jak się tu coraz wyraźniej ukazuje – miłość jest najdoskonalszym wyrazem, najważniejszym sposobem istnienia, czy wręcz przeznaczeniem, sensem życia.

Temu jednemu celowi służy przywołanie kilku głosów i kilku perspektyw, wprawdzie dominuje myśl Wojtyły, ale oświetlana i uzupełniana przez myślicieli pokrewnego ducha, też inspirowanych chrześcijaństwem i Biblią, odwołujących się do metody fenomenologicznej. Można powiedzieć, że nakładają się tu na siebie dwa spojrzenia: jedno jakby „z góry” – z perspektywy religijnej, która ukazuje idealny wzorzec miłości i drugie „z dołu” – spojrzenie ludzi świeckich, zanurzonych w życiu, czerpiących z doświadczenia, własnego i innych ludzi. Z tej perspektywy dobrze widać niepełność i niedoskonałość ludzkiej miłości, wiele przypadków różnorakiej słabości, uwikłania w zło, takie jak egoizm, zazdrość, zdrada, fałsz, zniewolenie. Słabość, nietrwałość miłości czy nawet nieczystość (czyli zmieszanie z jakimś złem) tłumaczy Grabowski niedojrzałością ludzkiej miłości. Zło bierze się nie z miłości, ale z jej braku, pisze Autor (s. 34).

Grabowski zwraca uwagę na to, że szczególną cechą inspirowanego religijnie myślenia Wojtyły o człowieku i o miłości jest to, że

patrzy on na człowieka z perspektywy Księgi Rodzaju, z punktu widzenia tego, co było „na początku”, kiedy Bóg stwarzał człowieka, mężczyznę i kobietę, i wzajemnie ich sobą obdarował. Mieszkańcy rajy byli wtedy, „na początku”, niewinni, czysti i nie odczuwali wstydu. Byli wolni od zła i zdolni do miłości oblubieńczej. Czyli takiej, która polega na oddaniu siebie drugiemu (por. s. 103 i n.), całego siebie, osoby wraz z ciałem. To właśnie wtedy, „na początku” ludzka natura objawia się w sposób pełny i czysty, ukazuje się także wyraźnie istota miłości wraz z jej najważniejszymi dla Wojtyły cechami: oblubieńczością i czystością.

Taki opis człowieka i miłości ma pełnić funkcję wzorca, idealnej miary. Duszpasterz czy wychowawca przedstawia go, bo w ten sposób lepiej trafia do słuchaczy i wychowanków. Te rolę idealnego wzorca M. Grabowski rozumie i uznaje. Potrzebami duszpasterskimi uzasadnia po części to, co nazywa naiwnością Karola Wojtyły. Naiwność filozofa bierze się też z pewnej szkicowości rozwiązań, ich intuicyjności, z niedopowiedzeń. Tego rodzaju „naiwne” radykalne wymaganie, ten „idealny obraz, zderza się z naszym poczuciem rzeczywistości” – pisze M. Grabowski (s. 189). W świecie realnym ideał samooddania wyradza się w niewolniczą uległość jednej strony i bezwzględne wykorzystanie tego przez drugą stronę (por. np. s. 263–266).

Ideał nie jest jednak odrzucony, tylko przeinterpretowany. Zrozumiany zostaje jako cel czy horyzont ludzkiej miłości. Warunkiem jego możliwości jest wolność. Miłość jako oddanie jest możliwa tylko w pełni wolności, bezinteresowności i dojrzałości osób. Można by dopowiedzieć, że musi przejść przez wolność, przez głębokie poznanie siebie i wzięcie siebie w posiadanie. Wtedy dopiero może mieć miejsce oddanie się temu, co – albo raczej kogo – dostrzegło się w swojej głębi jako przedmiot największego zachwyty. Dodawać nie trzeba, że musi to być wzajemne, jeśli ma mieć sens.

Krytycyzm Grabowskiego w stosunku do Wojtyły, poza dostrzeżeniem i usprawiedliwieniem swojego rodzaju naiwności, polega przede wszystkim na pewnym przesunięciu akcentów oraz dopowiedzeniach i rozwinięciu najważniejszych wątków. Jednym z nich jest sprawa rozumienia miłości oblubieńczej, czyli ofiarnej, polegającej na oddaniu siebie. Grabowski dopowiada, że taka miłość, „może rozgrywać się w każdym rodzaju miłości” (s. 198), nie tylko w miłości małżeńskiej, także takiej, która w ogóle nie odnosi się do płci. Jednak pojawić się nie musi: „Ofiarność jest elementem każdej udanej miłości, ale skala tej ofiarności w miłości oblubieńczej jest nie ilościowo, ale jakościowo

wo inna” (s. 199). Potrzebny jest pewnego rodzaju skok jakościowy, jakby przejście na inny poziom. Ale jeśli to się dokona, człowiek osiąga swoje przeznaczenie: „Człowiek spełnia sens swego istnienia i bytowania jako bezinteresowny dar z siebie samego” (s. 199). Wzorem tego jest życie i śmierć Jezusa.

Najistotniejsze jest to, pisze dalej Grabowski, że „poświęcenie i ofiara nie są celem samym w sobie” (tamże). Wydanie siebie jest wyrazem miłości wtedy, kiedy chodzi nie o obdarowywanie, ale o obdarowanego, „musi być intencja miłosna – odpowiedź serca na wartość idei, sprawy, osoby, Boga. Musi istnieć [...] ‘przedmiot’ miłości. Jest pierwotny w stosunku do darowania siebie” (tamże). Dar z siebie jest najwyższym wyrazem miłości. „Człowiek nie ma niczego cenniejszego” (tamże). Początkiem jest poruszenie serca, podziw, zachwyt, coś nas pociąga, porywa. „Prawdziwy podziw odrywa człowieka od siebie samego” (s. 200). Tak zaczyna się to, co potem może rozwijać się i dojrzewać.

Gdy mowa o przedmiocie miłości, dochodzi się do punktu, co do którego Grabowski wyraźnie podkreśla różnicę między myśleniem swoim a Karola Wojtyły. Jest to, można powiedzieć, różnica między rozumieniem osoby przez Schelera (oraz – trzeba dodać – doświadczeniem kogoś kochającego) a tomistycznym personalizmem.

Temu ostatniemu zarzuca Marian Grabowski traktowanie osoby jako czegoś właściwie jednakowego w każdym człowieku, co byłoby poznawane rozumowo, rozum także poucza o godności osoby. „Miłość osobowa w prezentowanym ujęciu jest tak naprawdę rodzajem szacunku” (s. 207).

Miłość, według Grabowskiego, potrafi uchwycić wartość jedyności, wyjątkowości ukochanej osoby (por. s. 26, s. 181). „Poznaje cenność jej niepowtarzalności” (s. 63). Miłość mówi: „Kocham ciebie, dlatego że to ty [...]. Jej przedmiotem jest wartość kochanej osoby – jej indywidualność uchwycona w aspekcie wartości. Jest cenna. To właśnie jej obecność uszczęśliwia” (s. 204). Jest to chyba najważniejsza cecha miłości osobowej w ujęciu Grabowskiego.

Można sądzić, że odkrycie indywidualnej, niepowtarzalnej i nieporównywalnej wartości osoby pozwala stworzyć bardziej jednolitą, wewnętrznie spójną koncepcję człowieka, w którym wymiary duchowy i cielesny będą mogły harmonizować ze sobą, wzajemnie się wspierać, a niekoniecznie przeciwstawiać się sobie.

Wśród pozostałych ważnych wątków ciekawe wydaje się pytanie o ciało ludzkie. Sensem ciała jest tutaj oblubieńczość to zna-

czy: ciało „jest zdolne stać się wyrazem miłości [...] poprzez nie dokonuje się samooddanie kochającego osobie kochanej” (s. 188). Ciało jest więc przestrzenią wyrazu duchowej osoby, narzędziem komunikacji i więzi z innymi ludźmi i ze światem. Zostaje tu ono, można by powiedzieć, usensownione, podporządkowane temu, co duchowe, co racjonalne. Czy to jest jego jedyna rola, czy może zostaje tu coś zapoznane? Według Wojtyły, tak samo jak i tak według Grabowskiego, wielkim zagrożeniem miłości jest uprzedmiotowienie drugiego człowieka, potraktowanie go jako tylko ciała, ciała, które jest przedmiotem. Jeśli jednak sensem ciała jest jego oddanie, czy to nie znaczy, że jednak jest ono przedmiotem, zastanawia się Grabowski, „człowiek nie mógłby oddać samego siebie poprzez akt woli – pisze – gdyby mentalnie nie ogarniał siebie jako przedmiotowej całości”. Co prawda, „bardzo szczególnej, ale przecież przedmiotowości” (s. 195). Dalej rozważa różnicę między godziwym i niegodziwym oddaniem siebie.

Może lepszym rozwiązaniem byłoby podkreślenie jedności człowieka w obu jego wymiarach: cielesnym i duchowym oraz tego, że w miłości ofiarowuje się cała tak rozumiana osoba. Samoofiarowanie to raczej tworzenie jedności, „przechodzenie od ja do my”<sup>1</sup>. Jedność, która powstaje, jest zupełnie swoista, obejmuje wszystkie poziomy osoby, jest twórcza i płodna nie tylko w wymiarze biologicznym, ale we wszystkich możliwych wymiarach.

Wizja człowieka jako jedności wymiaru duchowego i cielesnego jest oczywiście bliska zarówno Wojtyłce, jak i Grabowskiemu. Ale Wojtyła zdaje się bardziej podkreślać wewnętrzne napięcia. Grabowski pisze, że miłość, według Wojtyły, rozgrywa się w napięciu sprzecznych tendencji, w sercu ludzkim przesila się pożądanie i miłość oblubieńcza (por. s. 194–195). Trzeba przewyciężyć pożądanie, zastąpić je czułością, wzruszeniem. Marian Grabowski wydaje się jednak mniej skłonny do przeciwstawiania sobie tych dwu wątków w człowieku – cielesnego, popędogo i duchowego, osobowego, nie jest chyba przekonany, że jeden z nich koniecznie musi zniszczyć drugi. Sugeruje raczej, że pożądanie niekoniecznie jest czymś złym (por. np. s. 197), że może być i bywa początkiem miłości, która z czasem rozwija się, dojrzewa, pogłębia. Przekonanie o jedności człowieka, o możliwości i potrzebie wewnętrznej harmonii, która nie jest uzyskiwana kosztem czegoś ważnego w człowieku przebija się tu wyraźnie.

<sup>1</sup> K. Wojtyła, *Miłość i odpowiedzialność*, Lublin 1986, s. 88, cyt. za: M. Grabowski, *Miłość seksualna*, s. 103.



Czym jest więc, jak jest rozumiana, tytułowa miłość seksualna? Czym różni się od podobnych, także tu się pojawiających pojęć: miłości erotycznej, miłości płciowej? W porównaniu z nimi jest to na pewno coś więcej. Jest to miłość, która ma w sobie aspekt erotyczny, cielesny, ale potrafi też dostrzec to, co zazwyczaj jest niewidzialne: indywidualną wartość osoby. Można chyba powiedzieć – specyfiką miłości seksualnej jest to, że potrafi odkrywać i afirmować w człowieku wszystkie jego warstwy i wymiary: od tego, co zewnętrzne do tego, co najgłębsze. Potrafi je wszystkie doprowadzać do jedności, do harmonii. Potrafi też uszczęśliwiać. Nawet więcej – miłość i szczęście są nierozłączne (por. s. 82). Przeżycie szczęścia, jego głębia staje się miarą miłości. Oczywiście, czasem bywa, że miłość i szczęście są trudne, niepozbawione cierpienia. Ale jednak szczęście. Największym nieszczęściem jest brak miłości (s. 229).

Ostatnią, dość obszerną część książki stanowią interpretacje losów biblijnych patriarchów oraz kilku scen z życia Jezusa. Czymś bardzo śmiałym wydaje się mówienie o męskości Jezusa. Zostały jednak wypracowane narzędzia do tego. Jeśli Grabowski mówi o czystości Jezusa, wiadomo, co ona znaczy: wewnętrzną spójność osoby, absolutną bezinteresowność, przejrzystość intencji, całkowicie podporządkowanych najwyższemu celowi osoby, jakim jest oddanie siebie na ofiarę. Także jego ciało jest już od początku ofiarowane, jakby już martwe. Zrozumiałe staje się, dlaczego ktoś taki pojawiając się wśród ludzi działa przez samą swoją obecność, prawie bez słów.

Interpretacjom historii biblijnych można by zarzucać pewne psychologizowanie i uwspółcześnianie ich bohaterów. Ale współczesny czytelnik ma do tego prawo. Szczególnie jeśli odkryje w tekście nowe wątki. To się Autorowi udało. Trudna historia Abrahama i Izaaka wyjaśniona zostaje nie tradycyjnie, w kategoriach posłuszeństwa, ale w kategoriach miłości, jako nauka miłości. Abraham uczy się kochać – kochać syna i kochać Boga. Uczy się także trudnej sztuki właściwego odnoszenia jednej miłości do drugiej. Historie biblijne, o Abrahamie i jego potomkach, są tu potraktowane jako opowieść o dojrzewaniu miłości do Boga i człowieka.

O tym też w gruncie rzeczy mówi cała książka.

MARIA MAŁGORZATA BARANOWSKA  
(Kraków)